



Teresa Maria Klimek

część I z V

Sygnatura notacji: **N0081**
Data urodzenia: **11.10.1929 r.**
Data nagrania: **18, 19.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Gorzów Wielkopolski, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Wanda Milewska**
Czas nagrania: **cz. I: 55 min, cz. II: 59 min, cz. III: 25 min, cz.IV: 59 min, cz.V: 58 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Teresa Maria Klimek: Urodziłam się nieżywa i miałam nie być na tym świecie, ale po prostu lekarz się zawziął i ratował, a siostry zakonne w tym szpitalu modliły się do świętej Teresy i dlatego zostałam Teresą, a miałam być Marią. A tak jestem Teresa Maria. I tak jakoś udało mi się ten świat zobaczyć. Urodziłam się 11 października 1929 roku, a więc już wiele lat temu. I spotkało mnie potem znowuż dziwne wydarzenie. Gdy miałam dwa lata, moi rodzice się rozwiedli i wychowywał mnie dziadek, który był wtedy wdowcem i który po prostu stworzył mi bardzo dobry dom. No, może nie taki całkowicie, ponieważ zawsze miałam w otoczeniu dużo gospoś i innych pokojówek, a mniej rodziny, więc nie było to tak całkiem najlepiej chyba, ale za to miałam bardzo dużo czasu i mogłam dużo... Od dzieciństwa najwcześniejszego, jak pamiętam, to czytałam książki. Urodziłam się w Hrubieszowie, ale mieszkałam we Wrześni właśnie. I wszystkie moje najlepsze wspomnienia wiążą się z Wrześnią. Dziadek był jednym z dyrektorów cukrowni „Września”, która przestała istnieć w dniu 3 września 1939, ponieważ została całkowicie zbombardowana, a wraz z nią także nasz dom i wszystko, co mieliśmy na tym świecie. Dziadek był już poszukiwany przez Niemców po wkroczeniu wojsk niemieckich i musiał się ukrywać. Ja byłam z mamą, która wtedy właśnie już miała drugą córeczkę, z drugiego małżeństwa, i tak jakoś razem tułaliśmy się po rodzinie na wschodzie Polski. Ważnym wydarzeniem mojego dzieciństwa była taka sprawa, że gdy byliśmy w Grabowcu, 17 września, Grabowiec to jest blisko, między Zamościem a Hrubieszowem miejscowość, wkroczyły tam najpierw wojska sowieckie. I pierwsza rzecz, którą tam te wojska zrobiły, wkroczyły do szpitala wojskowego, takiego po prostu szpitala dla żołnierzy rannych, i zostali zastrzeleni dwaj lekarze, którzy w tym czasie przeprowadzali operację na chorym żołnierzu. Dla mnie to był straszny wstrząs, taki moralny, że jak można zabić lekarza, który akurat operuje swojego podopiecznego. I dlatego już może jakiś taki głęboki uraz do tych wojsk radzieckich. Rzeczywiście, wojska radzieckie...

Wanda Milewska: Pani o tym słyszała?

Teresa Maria Klimek: Nie. To znaczy po prostu w tej miejscowości to się stało, w której myśmy wtedy byli. No byłam tym dziesięcioletnim, nazwijmy, dzieckiem. Zresztą wojsko sowieckie robiło bardzo przykre wrażenie, ponieważ byli to ludzie bardzo skąpo umundurowani, w jakieś nieobrubione płaszcze, jakieś tam szmaty na nogach powiązane, tak wyglądało to wojsko, tak je pamiętam. No ale zabicie właśnie w szpitalu wojskowym to był dla mnie wielki wstrząs. Mój dziadek otrzymał pracę w Przeworsku, w cukrowni „Przeworsk”, i tam jako taki kierownik zakładów mechanicznych. I wtedy zabrał nas do Przeworska. I już byliśmy razem trochę, nie tułaliśmy się tak po różnych rodzinach. Natomiast mogę powiedzieć, mój ojciec z kolei, z którym miałam bardzo małe kontakty, a właściwie wcale, był w tym czasie w niewoli sowieckiej jako porucznik ułanów, natomiast mój ojczym był w niewoli niemieckiej, w oflagu, w Murnau. Czyli właściwie byliśmy tak jakoś zdani na własne siły bardzo. To było trochę trudne. Natomiast wrócić jeszcze do mego ojca. Mój ojciec wyszedł z armią Andersa, opuścił Związek Radziecki, natomiast ojczym do końca wojny był w Murnau, w oflagu. I teraz, znowuż drugi raz weszła armia sowiecka, w 1944 roku, w czerwcu, do Przeworska, i wtedy już jakieś powstawały zręby państwa polskiego, można tak powiedzieć. Muszę przyznać, że nie pamiętam, żeby armia sowiecka była witana serdecznie, raczej w Przeworsku nie. Bo były rabunki, były jakieś grabieże, nie było to sympatyczne w każdym razie. Tak że wtedy, gdy było Powstanie Warszawskie, o którym już dowiedzieliśmy się z radia BBC, myśmy byli już po prostu jakby po drugiej stronie frontu. Pamiętam, że bardzo przeżywalismy, ponieważ byliśmy jakąś rodziną bardzo zrosniętą z patriotyzmem, tak myślę. Mój pradziadek, czyli ojciec dziadka, był powstańcem styczniowym i nawet z rąk Piłsudskiego otrzymał osobiście Krzyż Virtuti Militari po odzyskaniu niepodległości. Więc jakoś stale byliśmy zapatrzeni w wolność, w niepodległość, w takie wartości, które są związane z niezależnością. I to były dla mnie bardzo wielkie wartości, ponieważ mój dziadek bardzo dużo ze mną rozmawiał, gdy byłam dzieckiem, i takie sprawy mi wpajał. Mało miałam natomiast rówieśników, i to było chyba niezbyt dobre, bo nie miałam takich wielu znajomych ze swojego otoczenia, ale potem jakoś to się unormowało. Tak że już będąc w szkole średniej, to zawsze miałam jakieś otoczenie miłe kolegów i koleżanek. Nie narzekałam na to. Lubiłam swoich rówieśników i jakoś z nimi umiałam nawiązać kontakt, i oni ze mną. Już po utworzeniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mieszkalam w Mogilnie... Aha, bo jeszcze w 1945 roku zmarł mój dziadek. Było to, jakby zawalił się świat, ponieważ dziadek był dla mnie matką, ojcem, wszystkim. Przyjacielem najlepszym, jakiego w życiu mogłam tylko sobie wymarzyć. Miałam wtedy 15 lat i zostałam jakby sama, tak można powiedzieć, chociaż miałam matkę i miałam siostrę, i ojczyma. Jeszcze wcześniej nazwisko mego ojca było na liście katyńskiej, którą opublikowali Niemcy. I myśmy cały czas myśleli, że mój ojciec poległ w Katyniu. I z tym żyłam aż do lat 50., z takim przeświadczeniem, że ojciec zginął w Katyniu, ponieważ jego nazwisko, Stanisław Bończa-Tomaszewski, było na liście tej niemieckiej, którą Niemcy opublikowali, gdy odkryli zbrodnię katyńską. Nie wiedziałam, że on żyje. Byłam jego jedyną córką cały czas. I potem poszłam na studia, po zdaniu matury w Gnieźnie, w Gnieźnie zdawałam maturę, w liceum ogólnokształcącym o profilu humanistycznym, i naśladowując swego dziadka, wydawało mi się, że powinnam pójść na chemię, ponieważ mój dziadek był chemikiem z wykształcenia. I na tę chemię mnie nie przyjęli mimo dobrze zdanego egzaminu, czy tam bardzo dobrze nawet, ponieważ... No nie wiem, taka ciekawostka jest może. Nie wiem, czy warto ją powiedzieć. Tak? Ciekawostka, że wtedy trzeba było jechać zawozić swoje papiery na uczelnię, ale jednocześnie ze szkoły dostawało się kopertę, zalakowaną, i tam była opinia. Natomiast miałam przyjaciółkę, która była bardzo sprytna i powiedziała, że ona

otworzy tę kopertę i przeczytamy sobie w domu. I ona faktycznie umiała, jakoś sprytnie zrobiła, nad parą, nad czymś jeszcze, że tę kopertę moją i jej otworzyła, i ja miałam tak napisane: „wrogi stosunek do obecnej rzeczywistości”. „Zdolna”, czy tam jakieś tam jeszcze przymiotniki, takie miłe, „ale nie umie zaakceptować”, czy coś takiego, „współczesnego ustroju”. Więc no niestety, trzeba było to zakleić i zawieźć. Ona miała napisane: „Córka kułaka, nie nadaje się na studia”. „Zdolna, ale nie powinna studiować”. I takie opinie nam wystawiła dyrektorka, która niby bardzo nas lubiła nawet, nawiasem mówiąc. No i zawiozłyśmy to, i może z tego powodu, czy innego, nie wiem, „Na wszystkie inne kierunki może być pani przyjęta, tylko nie na chemię”. I ja pierwszą lepszą wzięłam matematykę. Pierwsza lepsza z brzegu. I po miesiącu, studiując już tę matematykę, po miesiącu otrzymałam jakieś pismo z dziekanatu, że mogę przejść na chemię. A ja powiedziałam, nie. Nie chcieliście, to nie. Bo na tej matematyce było cudownie. Było nas tylko 20 osób i profesorowie byli wszyscy starej daty, czyli przedwojenni i bardzo jakoś tak otaczający nas jakąś sympatią i jakimś takim zrozumieniem. I wspaniali asystenci, którzy razem z nami chodzili na zajęcia duszpasterstwa akademickiego do Dominikanów. I tam się spotykaliśmy.

Wanda Milewska: A gdzie pani studiowała, w jakim mieście?

Teresa Maria Klimek: W Poznaniu. W Poznaniu na uniwersytecie. Jeszcze wtedy nie nazywał się Adama Mickiewicza, tylko Uniwersytet Poznański. I było to jakoś bardzo sympatycznie, że już nie chciałam opuścić tych studiów. Poza tym byliśmy małą grupą i mogliśmy sobie jakoś tak dość dużo rzeczy wspólnie powiedzieć nawet. Szczególnie ciekawy był jeden z profesorów, profesor Zdzisław Krygowski, on typował tych matematyków, którzy brali udział w rozszyfrowaniu Enigmy. I nam to wszystko opowiedział kiedyś na takim prywatnym naszym spotkaniu. Spotkaliśmy się z nim i on nam opowiedział, jak to właśnie on tych studentów przygotowywał do tego i przekazał ich wywiadowi, bo oni potem już należeli do wywiadu. I właśnie to byli studenci z Uniwersytetu Poznańskiego. Tak że studia mi upłynęły dosyć miło, w tym sensie tylko trudnym jednym, że ja w ogóle nie myślałam, co ja będę robić po studiach. Wydawało mi się, że zostanę na uczelni, bo dobrze mi szło, A tymczasem po prostu nie dostałam stypendium, żeby ukończyć studia. W międzyczasie odnalazła mnie rodzina mego ojca z wiadomością, że mój ojciec żyje i jest w Anglii. No więc było to dla mnie też zaskoczenie, że nagle ojca, którego w ogóle nie pamiętałam, w ogóle nie wiedziałam, jak wygląda, i nagle odkryłam, że jest ojciec w Anglii. I nawiązaliśmy korespondencję. Zresztą chyba on jakoś bardzo miał rozbudzone uczucia ojcowskie, bo bardzo dużo pisał i bardzo jakoś ten kontakt był ciepły, można powiedzieć. No więc takie życie nietypowe. Tymczasem w Mogilnie mieszkał mój ojczym, mama i siostra. Siostra potem poszła też do Gniezna do szkoły średniej, bo w Mobilnie nie było szkoły średniej, i tak jakoś do czasu...

Wanda Milewska: A studia skończyła...

Teresa Maria Klimek: ...gdy właśnie nie mogłam ukończyć tych studiów i zostałam skierowana do pracy jako nauczycielka, a nigdy w życiu nie myślałam, że mogę być w ogóle nauczycielką. Dla mnie to było w ogóle... Bo w ogóle nie robiłam pedagogicznego kierunku, tylko teoretyczną matematykę. No i dostałam skierowanie do Gdyni, do Gdynia-Oksywie, Szkoła Marynarki Wojennej. I tam mnie spotkała znowuż taka dziwna przygoda, można powiedzieć, ponieważ zabrakło godzin do etatu i dano mi [przedmiot] wiedzę o Polsce współczesnej. Tak się to chyba nazywało wtedy. I ja mówię, że ja tego nie mogę uczyć, bo ja nie wiem, jak. „No to weźmie pani kalendarz robotniczy i z ka-

lendarza robotniczego. No więc ja poszłam z kalendarzem robotniczym na pierwszą lekcję, a tam było: życiorys Bieruta. Bo to jeszcze Bierut żył.

Wanda Milewska: Na którym roku pani była studiów?

Teresa Maria Klimek: Proszę?

Wanda Milewska: Który to był rok studiów?

Teresa Maria Klimek: Po trzecim roku. A potem miały być jeszcze dwa lata i miał być ten magisterski, tak że ja wtedy nie miałam jeszcze dyplomu magistra. I ja mówię, no to czytamy ten życiorys Bieruta. I nie wiem, tak jakoś dziwnie było, śmiesznie, bo ja powiedziałam, co przeczytaliśmy w tym ustępie. A tam byli sami chłopcy i oni, jak zaczęli się pokładać ze śmiechu, i mówią: „Nie mówi się »ustępie«, tylko »urywku«, w tym urywku”. Ja jeszcze byłam młoda bardzo, i z warkoczem, i w ogóle, speszyłam się, ale sobie powiedziałam, nie będę uczyć tego przedmiotu Co ja tu mogę mówić? W ogóle nic. I poszłam do dyrektora, że nie mogę uczyć tego przedmiotu, bo mam inne przekonania. „Dziecko drogie!”, zamknął drzwi ten dyrektor, zobaczył, czy ktoś nie zagląda, mówi: „My się musimy wspierać, bo ja jestem z Poznania, jesteście poznaniacy, musimy się wspierać”. I załatwił mi przeniesienie do innej szkoły. Tam gdzie indziej już były mniejsze uposażenia, bo ta szkoła miała specjalne uposażenia jako szkoła marynarki wojennej. Ale ja się ucieszyłam, że już nie byłam na tym terenie wojskowym, tylko normalnie w mieście, i uczyłam na ulicy Czerwonych Kosynierów, w takiej szkole zawodowej jakiejś. I tam pracowałam rok. Ale jeżeli wrażenia jakieś, to nie mając w ogóle inklinacji do bycia nauczycielką, obrałam taki sobie schemat, że zobaczę człowieka, że to nie jest dla mnie uczeń, tylko człowiek, drugi człowiek, który jest, i ja muszę mu pomóc, żeby on opanował jakąś wiedzę matematyczną i żeby zobaczył we mnie jakieś... No może już tak precyzyjnie nie myślałam, ale coś w ten sposób. I jakieś zobaczył wartości, które można naśladować, być razem, spotkać się, pomyśleć, jakieś wspólne ideały, wspólne cele, wspólne jakieś... I tak traktowałam zawsze uczniów, i tylko na tym jakoś bazowałam do końca mojej pracy, a przepracowałam dużo. No więc tak wygląda sprawa. Potem skończyłam, tak, ale skończyłam eksternistycznie. Zawzięłam się i w ciągu roku pozdawałam tam ileś, z dwadzieścia egzaminów chyba. Ale to już dzieci były na świecie, już później, zupełnie później. Bo jednak czułam, że to nie można tak nie mieć dokończonych studiów. Był to jakiś może... Nie wiem, dlaczego nie dostałam tego stypendium, myślę, że może dlatego, że ojciec w Anglii. Albo... No nie wiem, nie dowiedziałam się nigdy, to nie będę mówić, bo to byłyby tylko przypuszczenia. Ponieważ miałam bardzo dobrą opinię i byłam wytypowana przez profesorów. I to jakoś... Tylko wtedy, jednak muszę powiedzieć, że jeszcze jak byłam w Poznaniu, to profesorowie nie rzędzili tak dużo, jak rzędziła... taka rada była, uczelniana czy jak ona się nazywała, złożona z ZMP-owców, czy z ZMS-owców, nie wiem, jak oni się nazywali wtedy. Coś było takiego, taka jakaś organizacja młodzieżowa. I oni mieli więcej do powiedzenia niż profesorowie nawet w różnych sprawach. To było bardzo wtedy... Bo nasilał się ten stalinizm, to były te czasy nasilania stalinizmu, no a jak pracowałam w Gdyni, to właśnie Stalin zmarł, bo to był 1953 rok. I wtedy wyszłam za mąż i przyjechałam do Gorzowa. W Gorzowie pracowałam dwa lata w technikum gastronomicznym, tak się nazywało, to było na ulicy... teraz się nazywa ta ulica Kardynała Wyszyńskiego, tam była taka szkółka, a potem, po trzech latach, bo rok w Gdyni i dwa lata tam, skończył mi się staż. I ja przez dwa lata nie mogłam znaleźć pracy. Ja dwa lata byłam bezrobotna w tym kraju, w którym podobno nie było bezrobocia.

I tak było. Dlaczego, to nie wiem do dzisiaj. W każdym razie dopiero znalazłam pracę w 1957 roku, w technikum...

Wanda Milewska: W Gorzowie?

Teresa Maria Klimek: Proszę?

Wanda Milewska: Już w Gorzowie?

Teresa Maria Klimek: Tak, już w Gorzowie, już mąż pracował, tylko mieliśmy dwójkę dzieci i tylko jedna pensja, i ja nie mogłam nigdzie znaleźć pracy. Nigdzie mi nie mówiono, że nie ma pracy, tylko, że na razie nie, na razie czekać, na razie to, tamto, i tak... To było takie jakieś... nie wiem, czy to szło za mną, różne rzeczy może szły za mną, a może nie, nie wiem. To jest moje przypuszczenie tylko. Ale w 1957 roku, czyli to już po dojściu Gomułki [do władzy], znalazłam pracę w technikum chemicznym. I to była precudowna szkoła. Wspaniała szkoła na ulicy Teatralnej. Malutka szkółka. Wspaniale się tam pracowało. Tam przychodziła młodzież, bardzo zdolna, i mnie bardzo dobrze z nimi szło. Jakieś kółka matematyczne, kółko melomanów prowadziłam dla nich też. I spotykałam się, w takich małych grupkach. Oni ciągle do mnie przychodzili do domu. Jak domownicy prawie. Jeździliśmy w czasie wakacji na obozy wędrowne, w góry, nad morze, gdzie się tylko dało, wędrowaliśmy, wędrowaliśmy, w takich grupkach jakoś. Wtedy może były te czasy takie, że udało mi się wykorzystać te możliwości, żeby dużo rozmawiać z młodzieżą. I do tej pory mam wśród nich bardzo wielu przyjaciół, i nawet zapraszają mnie na różne swoje spotkania. Teraz, niedawno byłam na takim spotkaniu czterdzieści lat po maturze. Miłe było bardzo. I po prostu zawsze miałam jakiś dobry kontakt. Może się zdarzyły jakieś nieprzyjemne zgrzyty, ale nie były to takie, żebym pamiętała. Mąż wtedy był dyrektorem tej szkoły jedwabniczej, a na początku pracował też w technikum chemicznym.

Wanda Milewska: Tam się poznaliście?

Teresa Maria Klimek: Nie. Nie, bo poznaliśmy się ze studiów, myśmy razem studiowali. Tak, myśmy razem studiowali.

Wanda Milewska: Też matematyk?

Teresa Maria Klimek: Tak, też matematyk. I tak jakoś było do roku 1972. W międzyczasie zrobiłam te studia, zażyłam się, i jeszcze byli ci profesorowie z poprzednich lat, oni mnie pamiętali w ogóle i nawet, jak raz przyszłam do jednego profesora i mówię mu, że przyszłam powiedzieć, że rezygnuję, bo nie dam rady chyba tak szybko oddawać tych egzaminów, eksternistycznie, że może na zaoczny się przeniosę albo coś, a on dał mi kartkę i temat. I jakiś temat, który znałam. I okazało się, że już zdałam egzamin i wszystko dobrze. Tak że bardzo było to sympatycznie zawsze. Miałam szczęście do ludzi. Jakoś ludzie byli mi życzliwi naokoło. Zresztą powiem, jak będę mówiła o stanie wojennym, to też powiem o pewnych rzeczach, może świadczących o mojej naiwności, ale i życzliwości ludzkiej. Szkoła miała się przenieść. Szkoła miała się przenieść do tego nowego gmachu, technikum chemiczne, tam na ulicy Czeresniowej. I podlegać bardziej pod Stilon niż pod kuratorium w związku z tym. Bo to miała być taka szkoła, gdzie zakładem opiekuńczym jest Stilon. A ponieważ chodząc i wizytując praktyki uczniów, kiedyś, przechodząc przez

bramę, zostałam w bardzo brzydki sposób zrewidowana, na bramie stilonowskiej, powiedziałam, że ja tam nie będę chodzić. I jakoś tak się złożyło, że akurat zaproponowano mi pracę w liceum. Proponowano mi już wcześniej, ale nie chciałam, ponieważ tam synowie chodzili. To nie chciałam uczyć w szkole, gdzie są synowie, bo to jest jednak dla nich krępujące, bardzo, dla mnie też nieprzyjemne. Niech oni sobie radzą po swojemu, zresztą oni tam sobie dawali radę, ale po co ja mam jeszcze się w to mieszać? Tak że przeczekałam ten rok i poszłam później, jak już szkoła się przenosiła, ja poszłam do liceum drugiego za Wartę. Tam już trochę było inaczej, już nie było tak kameralnie. Było trochę inaczej, ale też dobrze. Ja muszę przyznać się, że ja mniej na przerwach kontaktowałam się z kolegami, nauczycielami, a więcej z uczniami. I jakoś tak miałam takie swoje ścieżki. Tak że uczniowie przychodzili do mojego gabinetu na przerwie i tam był szum, rozmowy zawsze jakieś, ja im jakieś książki pożyczałam, także z różnego biegu, jak się dało. Wiedziałam, co komu pożyczyć. Nie wszystkim, ale... Jakieś psychologiczne książki, jakieś takie o życiu, takie moje prywatne, tam miałam w szafie pełno takich książek i zawsze im coś takiego podrzucałam. Nawet przychodzili tacy, których nie uczyłam. Też siedzieli w gabinecie, bo im było miło. I tak sobie rozmawialiśmy w czasie przerwy. I tak doczekałam Solidarności. To znaczy po drodze tam były jakieś kontakty. Przede wszystkim tu był niezależny taki KIK [Klub Inteligencji Katolickiej], konspiracyjny. Dlaczego? Dlatego że nie pozwalano na rejestrację Klubów Inteligencji Katolickiej. I w tym klubie mieliśmy wykłady, tu u księdza proboszcza naszego, mieliśmy wykłady, to znaczy przyjeżdżali z Paradyża profesorowie i wykładali nam takie rzeczy jak...

Wanda Milewska: Kto był proboszczem wtedy?

Teresa Maria Klimek: Ksiądz Łaszcz Ryszard przyjeżdżał, psycholog, ksiądz Dworak, bardzo świetnie było z nim spotykać się, bardzo ciekawe z psychologii wykłady. Bo on studiował na KUL-u, czyli tam przekazywał taką wiedzę trochę bardziej... ułożoną inaczej.

Wanda Milewska: A KIK kiedy powstał?

Teresa Maria Klimek: Legalny KIK powstać dopiero mógł w 1981 roku. Bo dopiero wtedy można było rejestrować KIK-i. A tak było pięć KIK-ów na terenie Polski i nie wolno było innym się rejestrować. Tylko była Warszawa, Poznań, Toruń, Kraków i Wrocław. Tylko te pięć KIK-ów było. A inne nie mogły powstać, ponieważ nie przyjmowano do rejestracji. No i myśmy tworzyli taką grupkę, trochę Warszawa nas wspierała, trochę Poznań i tak jakoś taka konspiracyjna grupka. No ale poznawaliśmy siebie nawzajem, poznawaliśmy jakieś zagadnienia, no wtedy była bardzo ważna sprawa, sobór watykański II. Więc te postanowienia soboru watykańskiego II, które nie przedostawały się w Kościele, do wiadomości wiernych, jak wiemy, w Polsce, jakoś to szło opornie, bo tak myślę, że episkopat postanowił, żeby tego tak ludziom nie przekazywać, bo to było jednak coś nowego bardzo. I bano się, że ludzie może będą jakoś inaczej na to patrzeć. Bo to otwarty Kościół, Kościół dla wszystkich. Nie ma zamknięcia, nie ma „wszyscy dobrzy”. Zniesiono te ekskomuniki dla tych protestantów i prawosławnych. To też chrześcijanie, nasi bracia w wierze. A więc dużo takich innych rzeczy, inne spojrzenie na chrześcijaństwo. Nas to bardzo interesowało, myśmy byli za, bardzo za, za tym wszystkim. Przede wszystkim, to jeszcze muszę powiedzieć, cały czas nie miałam na to, żeby kupić sobie coś na kolację czy na obiad, ale musiałam kupić „Tygodnik Powszechny”. Jeszcze jako studentka. I „Tygodnik Powszechny” cały czas to było moje pismo, które mnie jakoś kształtowało, pomagało też jakiś światopogląd uzyskać.

I w ogóle strasznie ciekawy człowiek, Jerzy Turowicz, i jego przekaz. Jego komentarze, w ogóle jego patrzenie na rzeczywistość. To było coś bardzo ważnego. I do dzisiaj to przypominam sobie, jak Turowicz powiedział przy okrągłym stole, to było coś fantastycznego, właśnie przemówienie Turowicza. Mało kto pamięta, nie? Mało kto pamięta przemówienie Turowicza przy okrągłym stole w 1989 roku, jak Turowicz powiedział, że trzeba uważać, żeby na miejsce starej nomenklatury. nie weszła nowa nomenklatura. I tego musimy pilnować, tego musimy strzec. Bo to nam zabije demokrację. To nam może zniszczyć demokrację. I jakoś tak myślę, że trochę się sprawdziło, jego obawy. Ale muszę teraz... Wojna, szkoła średnia, studia, praca, dom, dzieci... Dzieci były bardzo dobre. Moje dzieci były bardzo dobre, ponieważ jak tylko chciały nie pójść do szkoły, to mówiły mi i ja im pisałam usprawiedliwienie niestety, bo wiedziałam, że w domu zrobi więcej jak w szkole. Siadał nad encyklopedią, szperał, szukał, jeden i drugi. Różnica rok między nimi była, a chodzili do jednej klasy, ponieważ ten mały nauczył się przy tym starszym i poszedł od razu do drugiej klasy szkoły podstawowej, nie chodząc do pierwszej. Tak że oni byli bardzo ciekawi świata i nie sprawiali w ogóle kłopotów. Jeden poszedł na architekturę, drugi chciał na psychologię, ale nie dostał się z powodu braku punktów, mimo że też miał bardzo dobrze zdany egzamin. Czyli powtórzyła się moja tragedia, która nie wyszła mi na złe, i skończył filozofię, studiując jednocześnie matematykę, której jakoś nie skończył, ale był wybitnie zdolny do matematyki ten młodszy. Jakoś wybitnie, można powiedzieć nawet. Jest teraz w Kanadzie, skończył jeszcze informatykę. Myśmy z mężem powiedzieli sobie, że nie będziemy sobie przeszkadzać w tych samych organizacjach. Ja wtedy bardziej ten KIK pielęgnowałam, a potem Solidarność, a mąż był w Stronnictwie Demokratycznym. I myślał, że tam się coś uda zrobić. Ja na początku trochę starałam się coś działać w Związku Nauczycielstwa Polskiego, ale tam jednak był mur nie do przebiccia. To była skamieniałość, tak ja wtedy uznaję, że tak było. Próbowaliśmy zapraszać jakichś psychologów, żeby ci nauczyciele mieli jakiś kontakt z nauką żywą. Niestety to wszystko było utrudnianie na każdym kroku i w ogóle mur. Tak że nie dało się w Związku Nauczycielstwa Polskiego. A mąż próbował w Stronnictwie Pracy... w Stronnictwie najpierw tym Demokratycznym, Stronnictwie Pracy to potem Siła-Nowicki założył w Gorzowie. Ale mąż jeszcze bardzo dużo. Esperanto. To jego jest przede wszystkim osiągnięcie tu, w Gorzowie. Założył oddział Związku Esperantystów, biegle się posiłkował tym językiem, jeździł na kongresy różne, i to było bardzo ważne, ponieważ nawet w związku z tym będzie pewna przygoda, mianowicie jeździliśmy, ja też jeździłam i nawet w młodym wieku dzieci były na jednym kongresie, w Budapeszcie. Przynajmniej miały zobaczyć. A Budapeszt to było może jakiś rok... W każdym razie lata 60., początki 60. Budapeszt wtedy był jak zachodnia stolica. Budapeszt był jak zachodnia stolica. Nie wiem, dlaczego, ale robił to wrażenie, taki mały Paryż jakby. I to były rzeczywiście duże kontakty, duża potem jakaś korespondencja, bardzo duża korespondencja z ludźmi z różnych krajów, ale byliśmy też raz w Seged na kongresie, ja też byłam, to był 1968 rok, i wracaliśmy przez Czechosłowację. I byliśmy wtedy właśnie w Czechosłowacji, a to był 1968 rok, sierpień. I jeszcze przed wkroczeniem wojsk sowieckich. I to było naprawdę... czuło się w powietrzu wolność, tam pachniała wolność. Człowiek szedł ulicą, pachniała wolność, to było coś wspańiałego. Były transparenty o takich treściach: „Rosjanie, bądźcie nam braćmi” albo „Przyjaźń czechosłowacko-rosyjska na zasadzie równy z równym”. Stały stoliki na ulicy i przy tych stolikach można było podejść i podpisać się, kto chce za Dubcekiem. Tasiemcowe kolejki, żeby się podpisać. Ja stałam przy jednym, a mąż mówi: „Ty nie możesz, bo ty nie jesteś obywatelką tego kraju”. Ja mówię, to nic, ale się podpiszę. I to było naprawdę cudowne. A wyjechaliśmy jeszcze i chyba za dwa, trzy dni wkroczyły Związku Radzieckiego wojska. Razem z Polakami i razem z Niemcami. Bądźmy szczerze, we trójkę wkroczyli tam. Bo ci inni nie chcieli, ani Bułgarzy, ani Rumunii, ani Węgrzy. Tylko nasze wojska. To było coś bardzo przykrego. Muszę się przyznać, że miałam w domu jakiś flakon, ktoś mi przywiózł

prezencie, z jakąś wodą rosyjską, bo wtedy takie były modne te perfumy rosyjskie, i on gdzieś stał, to ja wzięłam i wylałam. Żeby nic rosyjskiego w domu nie mieć. No to byłam wtedy taka jeszcze dziecinna trochę. Takie objaw. W każdym razie było to jednak takie po prostu przeżycie drugi raz jak wkroczenie wojsk sowieckich do Budapesztu w 1956 roku. Czyli Węgrzy próbowali, nie udało im się, Czesi próbowali, nie udało im się. Potem zaraz ten Palach się spalił, w Pradze, Jan Palach, co samo spalenie na znak protestu. To wszystko są rzeczy, historia bardzo trudna dla nas wszystkich, którzy przeżyliśmy tę historię w krajach demokracji ludowej, jak to się nazywa. Natomiast co tam dalej? Dalej to było tak że Solidarność. Ja muszę powiedzieć, że na Solidarność to ja czekałam. Nie na Solidarność, bo tego nikt nie mógł przewidzieć, że coś takiego, ale że jakieś wydarzenia będą. Bo już tak się szykowało. Najpierw 1956 rok w Poznaniu, potem 1970 rok na Wybrzeżu, potem 1976 rok, powstanie KOR-u, no to już wspaniała sprawa. Nie było łatwo uzyskać kontaktu, trochę się starałam, ale nie miałam takiego bezpośredniego jednak, ponieważ wtedy musiałam dużo pracować. Dzieci były na studiach, obaj synowie, brałam takie dyżury w internacie, nocne, czyli noc w internacie, potem do pracy i tak... No było trochę ciężko materialnie. No ale jak wybuchła Solidarność, akurat byłam w Zakopanem. Jeszcze muszę powiedzieć, że to, co tak nas ratowało, to wyjazdy do Zakopanego, ponieważ w Zakopanem była ciocia mego ojca, która miała tam filię Muzeum Tatrzańskiego, swoją prywatną zresztą, chatę „Tea”. Może państwo byli w Zakopanem, to tam się zwiedzało tę chatę „Tea”. Przy Bulwarach Słowackiego, jak się idzie drogą do Kuźnic tam. I to była własność mojej cioci. Oni, ona i jej mąż, zbierali te wszystkie góralskie pamiątki, folklor góralski. Zresztą zapisała to w testamencie Muzeum Tatrzańskiemu. I co roku jeździliśmy tam jakoś odpoczywać. Tak że dzieci, mając ileś tam lat, to już musiały na Kalatówki chociażby nawet. A potem to już chodziliśmy na normalne wycieczki wysokogórskie i to było nasze coś, co nam dawało bardzo dużo radości, te odpoczynki w Zakopanem. I akurat byłam w Zakopanem, a tu słyszę, strajk na wybrzeżu. Gdańsk, Szczecin. Z radością, nie, i z jakimś biciem serca. Może, może to coś. I faktycznie okazało się coś. Podpisanie porozumień no i może powstawać Solidarność. To było wszystko bardzo przemyślane, bardzo logiczne, ponieważ to było ważne, że nie powstawały związki branżowe, tylko związki zakładowe. I to była właśnie ta istotna rzecz, która była bardzo ważna, że nie chodziło o interes branży, tylko o interesy zakładów. I w każdej szkole powstawała Solidarność. I ja jakoś tak się w to zaangażowałam, że chodziłam po szkołach i zakładałam w różnych szkołach Solidarność. Także mój mąż zakładał, pan Władysław Czyżewski, mój mąż, Władysław Klimek i jeszcze kilka osób. Jasiu Goszczyński, bardzo ofiarny też, z pierwszego LO, geograf. Już nie żyje. Jeżeli państwo go pamiętają może. Nie? I chodziliśmy po szkołach.

Wanda Milewska: Pan Władysław Czyżewski to historyk, tak?

Teresa Maria Klimek: Tak, historyk. I myśmy się tak jakoś zmówili, nawiązali kontakt z naszą Solidarnością Regionalną i dostaliśmy możliwość chodzenia po szkołach i zakładania tych komitetów zakładowych w szkołach. I właśnie ciekawe, w jednej szkole... To nie powiem, jaka to była, w każdej szkole było inaczej. W niektórych szkołach to patrzyli w człowieka jak w tęczę i się cieszyli, że może powstać tu komisja zakładowa. W innych szkołach... Taka była jedna szkoła, takie ciekawe może spostrzeżenie, że tam cały czas to w zasadzie zabierał głos woźny najwięcej. No ale jak woźny... I woźny się zgłasza: „Proszę pani, ale dyrektor nie jest członkiem Solidarności, a chce brać udział w głosowaniu”. No ja mówię, nie można, nie można. Dyrektor tej szkoły, nie powiem, kto, mówi: „No ale ja jestem dyrektorem, to ja muszę”. Ja mówię: „Nie, proszę pana. Jak pan nie jest członkiem Solidarności, może pan się zapisać do Solidarności, ale jak nie, no to naturalnie nie”. Tak że jakoś w końcu wytłumaczyłam. I potem już koniec zebrania,

wożny się zgłasza znowuż. „Proszę pana, co?” – „Niech pani nam wytłumaczy, co to jest ta Solidarność”. Boże, co ja mogę wytłumaczyć? Ja mówię, Solidarność, komitet zakładowy, delegat będzie przychodził do zarządu regionu, będzie tam ustalać pewne rzeczy i tu będziecie swoje postulaty przynosili i tak dalej, co się da zrealizować, co nie. „No to już pani mówiła, to nie”. Co tu mam powiedzieć? Ale akurat w „Tygodniku Powszechnym” był drukowany Tischner, „Etyka Solidarności”. I przypomniałam sobie, jak tam tytuł był jeden: „Solidarność sumień”. Ja powiedziałam: „Proszę pana, Solidarność to jest Solidarność sumień”. A on na to: „Tak mi pani wytłumaczyła, najlepiej”. I przyjął to jako wytłumaczenie, co to jest Solidarność. Więc takie ciekawostki były. W jednej szkole to akurat dyrektorem był mój kolega jeden, który wcześniej pracował ze mną w technikum chemicznym, i on do mnie mówi: „Teresa, i ty w to wszystko wierzysz?”. Ja mówię: „Wierzę, bo chodzę, zakładam, męczę się, popołudnia całe przecież, rano pracuję, a po południu chodzę i zakładam”. „I ty w to wierzysz? Ja nie wierzę. Zobaczysz. Zobaczysz, że to wszystko będzie ucięte”. Ja wtedy myślałam, że on tak tylko mówi. Ale może coś wiedział, nie wiem, tego nie wiem. W każdym razie różnie było w różnych szkołach. Ale do dzisiaj, jak się spotykam z jakimiś starszymi nauczycielami z tych szkół, to oni przypominają sobie, jak ja u nich zakładałam, i jakoś tak czujemy jakąś bliskość, jakąś więź z tego powodu. Zaistniało między nami coś bliskiego. A w ogóle, proszę państwa, wtedy w Solidarności, nie wiem, to był najpiękniejszy okres, jaki mógł się zdarzyć człowiekowi. Wtedy nikt nie pytał, czy coś będzie zapłacone, tylko co jest do zrobienia. Przychodzili ludzie, ja tam siedziałam ciągle w zarządzie, na Borowskiego, przedtem to się nazywała Krajowej Rady Narodowej, ulica, już tam, bo na początku to było w urzędzie miejskim. Taki pokoiczek. A potem tam się przenieśliśmy. I jak przychodziłam, to ludzie przychodzili: „Co trzeba zrobić? Może coś pani pomóc? Może coś?”. I ja byłam w komisji oświaty, jak zwykle, najbliższa mi była. I ja muszę państwu przypomnieć jeden fakt, bardzo ważny. Bo przecież wtedy miała być wprowadzona dziesięciolatka. Tak, już nikt tego nie pamięta. Miała być wprowadzona dziesięciolatka, minister Kuberski, Jerzy Kuberski, od oświaty, rozesłał do szkół takie ankiety, czy nauczyciele są za dziesięciolatką. Myśmy na ogół wypełniali, ja nie sprawdzałam, jak ktoś wypełniał, ale ci, co mówili, to mówili, że wszyscy przeciw. Za pewien czas otrzymujemy pismo do szkoły: „Dziękujemy, że wszyscy głosowali za”. Minister podpisany. Więc to było różnie. W międzyczasie jeszcze ukończyłam studium podyplomowe w Warszawie z informatyki. Tak się rozszalałam trochę i tak jakoś było. I uczyłam informatyki. I z tego powodu dostałam Nagrodę Ministra stopnia pierwszego, ponieważ tylko szesnaście szkół w Polsce eksperymentowało z tą informatyką wtedy no i jak wszyscy otrzymali tę Nagrodę Ministra pierwszego stopnia, to i ja. To był naprawdę potężny zastrzyk finansowy wtedy. I dwa razy otrzymałam Nagrodę Ministra pierwszego stopnia, raz za olimpijczyków, a raz właśnie za tę informatykę w szkołach, prowadzoną eksperymentalnie. Ale ja, ponieważ tam robiłam to studium podyplomowe w Warszawie, to tam nawiązałam taką znajomość. Był taki Instytut IBM tak, był taki, i oni przyjęli, ja jechałam z młodzieżą na wycieczkę i tam zwiedzaliśmy ten... Przynajmniej oni zobaczyli, jak wyglądają nie Odry, nie... tylko prawdziwe IBM-owskie maszyny. Bo podobno w Szczecinie to jeszcze był Mińsk jakiś, do którego trzeba było pisać programy w języku zero-jedynkowym. Czyli przetłumaczyć samemu na zero-jedynkowy dostawało się odpowiedź w zero-jedynkowym i trzeba było przetłumaczyć na polski dopiero. Tak. No więc takie były różne rzeczy. No więc takie trochę było to... W międzyczasie też zaangażowałam się w harcerstwo. W harcerstwo takie, które... Ponieważ wtedy było tak, że każda klasa ma tworzyć drużynę harcerską, więc ja mówię, jak musi być drużyna harcerska, niech to będzie harcerstwo z prawdziwego zdarzenia. I ponieważ miałam kontakt z harcerkami Szarych Szeregów, starszymi ode mnie dużo, jedno pokolenie, no ale zawsze... I tym sposobem dotarłam do pani Janiny Kamińskiej, żony Aleksandra Kamińskiego w Warszawie, i udało nam się stworzyć tu, przy tej szkole, dyrektor przystał na to... Nawet zdziwione byłśmy, bo to z koleżanką

robiłyśmy, z Halinką Kołosowską, która uczyła rosyjskiego tam. Myśmy się tak zaprzyjaźniły i tak jakoś działałyśmy po swojemu trochę. I stworzyłyśmy taką drużynę „Kamyki” na wzór jakby przedwojennego harcerstwa trochę. I jeździliśmy do pani Kamińskiej, do Warszawy, i jak ta moja klasa weszła do jej małego mieszkania cała, to naprawdę było bardzo przyjemnie. I przyrzeczenie ta klasa zdawała na Powązkach, wśród grobów [żołnierzy batalionów] „Zośki” i „Parasola”, i teraz, hymn harcerski był... pierwsza zwrotka jak przedwojenny, a druga była socjalistycznej biało-czerwonej. Druga zwrotka. Więc ja mówię, śpiewamy tylko jedną zwrotkę, młodzieży. Pamiętajcie, śpiewamy tylko jedną zwrotkę. Tylko jedną i wystarczy hymnu harcerskiego. Jedna się wychyliła i zaczęła śpiewać drugą. No więc pani Kamińska spojrzała zgorziona naturalnie. To były lata już 1978, 1979, gdzieś w tych latach.